

Dwie damy

Ostatnio widuje się w telewizji dwie starsze panie, o których można powiedzieć: damy. Jedną z nich jest Renata Bogdańska-Anders, a drugą Nina Andrycz. Łączy je ślad dawnej urody, szyk i właściwy im tylko image. Poza tym, wydawałoby się — wszystko dzieli. Dlaczego i czy naprawdę? — rodzi się pytanie.

Jest to pytanie o przedziwny efekt skomplikowanych: polskich losów, o przypadkowość czy też determinizm, a może nawet o Opatrzność. Z jednej strony młodzianka lwowianka, która — po zajęciu Lwowa przez Sowieców — jeździła po Kraju Rad, wraz z najlepszymi twórcami polskiego kabaretu, aby jednak w końcu dostać się do polskiej armii organizowanej przez Andersa i przejść cały szlak II Korpusu. Z drugiej strony — wspaniała aktorka dramatyczna, która swój wielki talent, zdaniem jej kolegów, zmarnowała grając przed lustrem w czasie okupacji. Ale dla zwykłego człowieka różnica polega przede wszystkim na tym, że pierwsza wyszła za mąż za generała, który nigdy nie pogoździł się z sowiecką okupacją, a druga — przeciwnie — związała się z politykiem, wyznającym wobec Andersa linię całkowicie przeciwną.

Tak się złożyło, że miałem okazję poznać Józefa Cyrankiewicza osobiście. Był to człowiek ujmujący inteligencją i kulturą bycia. A jednocześnie był to osobnik, który rozłożył Polską Partię Socjalistyczną, groził „obcięciem rąk” i tak dalej. Autentyczny Cyrankiewicz skończył się chyba w czasie okupacji. Pozostał nieprzyjemny zapach. Z kolei Władysław Anders, o którym przez dziesięciolecia słyszeliśmy w peerelu jako o groteskowym zagrożeniu dla jedynie słusznych, socjalistycznych przeobrażeń, urósł do rangi narodowego bohatera. Cóż na to poradzić? Historiozofia jest wyobrażeniem narodu o jego przeszłości, tęsknotą do „porządku rzeczy”, obroną przed upodlającym życie społeczności i jednostki kłamstwem.

Dwie piękne damy. Osądzać, oceniać? Moja przyjaciółka, która jest lwowianką (a lwowiacy, *semper fidelis*, stoją znacznie wyżej nie tylko od krakowiaków i poznaniaków, ale nawet od warszawiaków), powiedziała mi tak: — Maciek, a może to wszystko jest przypadkiem?

I właśnie tego nie wiem. Nie mogę oceniać i — broń Boże! — sądzić. Boję się jednak zatarcia granicy, za którą nie mógłbym powiedzieć jasno i klarownie o naszej przeszłości mojemu dziecku i moim młodym współpracownikom. Maria Dąbrowska napisała o pewnym poecie z okazji tzw. zjazdu zjednoczeniowego PPR i PPS: „Dobrowolski (Stanisław Ryszard) inicjował okrzyki na cześć Stalina i Rosji, pierwszy wstawał, ostatni siadał, zdawało się, że tylko patrzeć, a też zleje się z ogromnego wzruszenia”. Poeta ten — o czym mało kto już pamięta — jest autorem AK-owskiej pieśni „Warszawskie dzieci”. Znajdujemy tam taki passus: „Gdy padnie pierwszy strzał bądź gotów /Jak w rękę Boga złoty grom”.

Jaki jest punkt odniesienia? Czy rzeczywiście — jak twierdzą Żydzi — istnieje trzydziestu sześciu labendowników, prostych ludzi, na których opiera się porządek moralny świata, a którzy sami o tym nie wiedzą? W Łodzi działał ojciec jezuita, który w stanie wojennym był oparciem dla całej opozycji. Kiedy opozycja zdobyła władzę — zniknął. Podobno głosi Ewangelię wśród poleskich błot. I ten paradoks na koniec: zacząłem o pięknych kobietach, a skończyłem na Żydach i jezuitcie.